Wybij się

Autor: KtB

PROSZĘ PAŃSTWA, CO SIĘ STAŁO?! JA W TO NIE WIERZĘ, JA W TO NIE WIERZĘ, CO ZROBIŁ TEN DZIECIAK! KIM ON JEST, CO ON ZROBIŁ, TO NIESAMOWITE, CO ON ZROBIŁ, KTO GO TU SPROWADZIŁ! FENOMENALNY WYCZYN! TRYBUNY SZALEJĄ! JESZCZE CZEGOŚ PODOBNEGO NIE WIDZAŁEM JAK ŻYJĘ! OWACJE NA STOJĄCO, PROSZĘ PAŃSTWA, OWACJE NA STOJĄCO! I NIKT NIE ŚMIE WĄTPIĆ, ŻE ZŁOTO, PROSZĘ PAŃSTWA, ZŁOTO I NOWY REKORD ŚWIATA! TO NIESAMOWITE, POWTÓRZĘ PAŃSTWU, NIESAMOWITE... PAWEŁ ŚLUSARSKI – CHŁOPAK ZNIKĄD, WŁAŚNIE PRZESZEDŁ DO HISTORII!

Płynący z megafonów głos powoli cichł w głowie, leżącego na zeskoku, sportowca. Odpoczywał, pozwalając oddalić się myślom ku przeszłości, która doprowadziła go na Igrzyska.

Udało się, dokonałem tego. Sam w to nie wierzę. Cholera! To niemożliwe! Ale... przecież klaskają, oni tam, ci wszyscy ludzie klaszczą dla mnie. Więc jednak mi się udało. Dzięki Ci, Boże!

Au! Kłuje, cholera! Znowu. Zaraz przejdzie. Jak zwykle. Jak wtedy, w ten dzień.

Dzień Diagnozy.

Trzyletni szkrab niewiele rozumiał z medycznego bełkotu lekarza, ale mama płakała. Płakała i głaskała synka po główce, po czym mocno do siebie przytuliła. Czuł smutek. Nie wiedział o czym dorośli rozmawiają ani czemu mężczyzna z dziwnymi słuchawkami patrząc nań miał bardzo zatroskaną minę, ale jego wzrok miał w sobie coś niepokojącego, co sprawiło, iż rozstroił się na dobre. Twarz dziecka wykrzywiła się i począł zawodzić niczym syrena w Pearl Harbor podczas japońskich nalotów.

Korytarz, w którym postawiono diagnozę był idealnym akustycznie pomieszczeniem dla rozchodzenia się dźwięków rozpaczy chłopca. Utrzymujący się chłód potęgował uczucie bezradności. Szarawe ściany– świetność ich bieli dawno przeminęła, wraz z końcem ery PRL-u. Nic nie wskazywało na to, by Szpital na Bema miał wrócić do łask. Powoli kończono budowę nowoczesnego kompleksu, usytuowanego na terenach wyżynnych, gdzie miano przenieść wszystkie oddziały. Lecz te czasy jeszcze nie nadeszły i lecznicę wypełniały chmary ludzi. Wielu z mijających, zatopionych w burzy prywatnych problemów, spoglądało pobłażliwie na dzieciaka, sądząc, że wystraszył się pobytu w przychodni bądź konieczności zabiegu, nie będąc nawet świadomymi zapadłego wyroku.

Miała to być pierwsza, acz nie ostatnia szpitalna ekspedycja. Czasem, kiedy ból dawał się we znaki, przyjeżdżał wujek Marek. Zostawiał recepty i często wykłócał się z mamą, początkowo przy dzieciaku, później na osobności. Nieraz na odchodnym trzaskał drzwiami, ale matka zawsze powtarzała, że to dobry człowiek. Paweł też go lubił, bo nie nosił białego fartucha i świetnie się dogadywali. Zawsze miał coś dla bratanka.

Będąc teraz tu, w samym środku stadionu, wśród rozentuzjazmowanego ryku kibiców z całego świata, nie potrafił wstać z maty. Odnosił wrażenie jakoby na jego klatce piersiowej ułożyły

się setki, tysiące igłozwierzów, jeden przy drugim, grzbietami do dołu, wiercących się celem uzyskania najwygodniejszej pozycji do snu. Co rusz, któryś mocniej wbijał kolce w ciało, a jego mózg przeszywały fale roznoszącego się cierpienia. Pierwszy raz odczuwał takie katusze. Sądził, że wtórne złamanie ręki przez ojca jest szczytem męczeństwa. Jakże się mylił.

Tato! Kurwa, to dla ciebie tu jestem! Chciałem, żebyś był ze mnie dumny!

Ojciec.

Ciekawe, czy mnie teraz widzi? Może mu pozwolili...

Człowiek sukcesu– mawiali. Ten facet potrafi sprzedać gówno i jeszcze na tym zarobić– krążyło na salonach o Ślusarskim. W oczach syna pozostawał jednak zawsze pijakiem. Tatą, ale pijakiem. Notorycznie wracał do domu zalany w trupa, awanturując się od progu, by móc wyładować frustracje dnia na rodzinie. Potrafił awanturować się o wszystko, nic mu nie pasowało. A to zbyt mocno trzasnęły niesione przeciągiem drzwi lub też pies Dublińskiej, lubiący sobie poszczekać na ptactwo okupujące okoliczne drzewa, drażnił nadwrażliwe uszy ojca. Niepotrafiący poradzić presji dnia codziennego dawał upust frustracji w zaciszu czterech ścian. Dlań azyl, ich prywatny karcer. Pił, co prawda, wcześniej ale dopiero po Wielkiej Wodzie, kiedy podjął pracę u swojego dawnego podwładnego, przestał sobie radzić z rzeczywistością. Początkowo próbowali temu zaradzić, wpierali go, jednak władca, który traci wszystko, łącznie z szacunkiem – ma dwa wyjścia: podjąć walkę z losem bądź poddać się deklasacji. Większość obiera łatwiejszą drogę. Niechlubne grono zasilił także stary Ślusarskiego.

Słoneczny dzień.

Ciepłe promienie delikatnie pieszczą podatne na oparzenia, chronione warstwą ozonową Ziemi wrażliwe ciała.

Nieboskłon – pusty niczym bezkres oceanu, po którym dryfuje samotnie obłok. Z tej jednoosobowej powietrznej łajby roni się kropla wody. Spadająca, przyciągana siłą grawitacji, cząstka tlenku wodoru pokonuje kilometry przestrzeni, by z cichym plaśnięciem rozpłaszczyć się na powiece dwudziestotrzylatka.

Ocknąwszy się z zadumy, słysząc radość swoich świeżych fanów skandujących „PAULO! PAULO!” uświadamia sobie kim jest i gdzie się znajduje.

Stadion Olimpijski.

Heh. Jestem na igrzyskach. Gladiator, który pokonał lwa teraz słyszy sławiące peany. I, choć zwierzę już go nie dosięgnie, zostało tam, w górze, na wysokości niespełna ośmiu metrów – zdołało zadać śmiertelny cios.

A teraz ta kropla! Niezdolny drgnąć powieką, zmuszony pozwolić, by powoli podbijała tereny jego skóry, wspominał okres, kiedy był równie bezbronny wobec żywiołu natury.

Lato roku dziewięćdziesiątego siódmego – przedmilenijnego. Lato tylko z nazwy. Pierwszy

raz doznał paraliżującego uczucia strachu.

Jak każdy ośmiolatek, Paweł chętnie korzystał z przywileju pozaszkolnej wolności. Z utęsknieniem czekał ostatniego szkolnego dzwonka. Mają to do siebie, iż zapowiadają pewne wydarzenie. *Dryń, dryń!* Uwaga, rowerzysta! *Ding-dong!* Już otwieram! Przeciągłe *drrryyyyyń* może oznaczać tylko koniec semestru. Wakacyjne szaleństwo.

Gdyby wiedział, że straci dom... Nigdy nie opuściłby szkolnych murów.

Najgorszy był lipiec. Prócz kilku dni stale padało. Gleba nie miała jak wysychać.

Początkowo wyglądało to nawet zabawnie. Poziom wód wzbierał. Dzieciaki taplały się w kałużach nie zważając na pogróżki bezradnych rodziców, których pralki musiały pochłaniać niepomierne ilości zabłoconych ubrań. Niektórzy nie wypuszczali na zewnątrz nawet zwierząt. W ciągu dnia mieszkańcy godzinami wystawali na Moście Zamkowym, ze zgrozą obserwując wciąż poszerzające się, rosnące koryto Odry.

Świeżo upieczony absolwent pierwszej klasy podstawówki miał w głowie ułożony plan obserwacji żywiołu z bliskiej, acz bezpiecznej odległości. Wymknąwszy się cichaczem z domu, uzbrojony w nieprzemakalnie obuwie do kolan, ruszył tego wieczoru na przejście łączące „wyspę” z centrum. Niestrzeżony obszar kusił aurą niebezpieczeństwa.

Władze bagatelizowały sytuację, a część raciborzan ślepo zawierzała włodarzom. Do czasu, aż Czesi opróżnili zbiorniki retencyjne i fala przeszła przez miasto. Syreny zawodziły, ale było już za późno. Bestia raz wypuszczona nie wraca do klatki.

Kiedy zawyły, znajdował się na samym środku pomostu. Drażniący bębenki dźwięk alarmu rozzłościł bezpańskie psy znajdujące się w, oddalonym o niespełna dwa kilometry schronisku. Przeczuwały katastrofę.

Obserwował zauroczony sunące mini tsunami, gdy niespodziewanie przeczesał mu facjatę promień latarki. Błysk światła chyżo wyrwał małolata z otępienia. Zaczął biec najszybciej jak umiał w stronę rynku, podświadomie czując, iż obranie odwrotnego kierunku byłoby dlań zgubnym przedsięwzięciem. Pędził ku ratunkowi, który nadszedł niespodziewanie jakby Anioł Stróż klepnął przypadkowego człowieka, by pomógł jego podopiecznemu.

A może to był jego Strażnik Życia?

Nie pamiętał dokładnie późniejszego przebiegu zdarzeń, co wydawało mu się bardzo wygodne, gdyż prąd okazał się silniejszy od ciała chłopca i będąc niemalże bezpiecznym, zdołał wymyć mu grunt spopod nóg. Ostatnim, ciężkim niczym astma oskrzelowa w pokoju pełnym trupów, wspomnieniem było zalanie smolistą, cuchnącą jakby z miejskich ścieków, wodą. Odpłynął w odmęty nieświadomości.

Ocknął się dopiero w szpitalu. Ostry ból głowy, którego doświadczał był konsekwencją uderzenia o płytę chodnikową w momencie utraty równowagi. Rodzice już przy nim czuwali. Choć

rozmawiali szeptem, dobiegały go strzępki konwersacji. Ojciec wydawał się trzeźwy, mama lekko pochlipywała.

Okazało się, że uratował go będący przypadkiem w pobliżu strażak, który dostrzegł samotnie stojącego dzieciaka na bezludnym moście. To on rozjaśnił oblicze ośmiolatka refleksem latarki.

Nie powinien wymykać się z domu, ale głos pod czaszką okazał się silniejszy od zdrowego rozsądku. Poza tym był jeszcze dzieckiem i ciekawość poznania świata nie mogła być tłamszona przez zakazy dorosłych. Udawał, że śpi, by uniknąć reprymendy ojca i lamentu matki. Ale państwo Ślusarscy nie wykazywali głębszego zainteresowania poszkodowanym. Ich uwaga była skupiona na zupełnie innym aspekcie – domu. Rozmawiali o tym, gdzie będą mieszkać. I co będą robić, kiedy już zejdzie woda. Janusz tłumaczył żonie kwestię ubezpieczenia domostwa i kosztów z tym związanych. Wpadła w histerię, kiedy pojęła, że ich bezpieczeństwo finansowe okazało się ułudą, a mąż zamiast opłacać polisę – zostawiał wszystko w kasynach.

Chyba rozpoczął się wtedy proces rozpadu rodziny, a ja nie zareagowałem bojąc się drgnąć. Zachowałem się jak tchórz, bo chciałem uratować własną dupę. Teraz leżę na jakiejś pieprzonej macie twardej jak nadmorska plaża po kilkumiesięcznej suszy bez możliwości ruszenia palcem. Wszystko się sypie. Jebana proza życia. A wystarczyło otworzyć oczy. Obecnie nawet tego nie mogę.

Po powodzi nadeszły chude lata. Przeprowadzili się, Paweł zmienił szkołę. Rodzice tłumaczyli, że to dla jego dobra, że będzie miał blisko do domu. Przytakiwał. Rozumiał, jednak żal było mu rozstawać się z przyjaciółmi. Niektórych znał od piaskownicy, posiadali wspólne tajemnice.

Wraz z Mateuszem potrafili godzinami czatować na torowisku w oczekiwaniu na pociągi, którym przed przejazdem kładli kapsle, monety i wszystko, co mieściło się na wąskim obszarze szyny, by te mocą tysięcy koni mechanicznych rozpłaszczały drobne przedmioty z łatwością przedszkolaka rozgniatającego miękką plastelinę. To ich fascynowało. I nikt o tym nie wiedział. Co prawda, z Szymonem łapali kiedyś koniki polne do dużej plastikowej butelki i poddawali je wymyślnym torturom, znanym tylko dzieciakom, ale po zobaczeniu w telewizji kilku odcinków „Pszczółki Mai” zaprzestali haniebnych praktyk. Osobiście ubolewał nad nieszczęsnym losem owadów i poprzysiągł sobie, iż nie skrzywdzi więcej żadnego stworzenia. O tym, rzecz jasna, również nikt nie został poinformowany.

A teraz to. Nie mógł uświadomić rodziców, że zna powód przeprowadzki. Dość wycierpieli się przez bezmyślność syna. Miał do nich pretensje, bo ukrywali prawdę, ale nie chciał, aby jego strzyżenie uszami wyszło na jaw. Z pokorą przyjął zmianę zasad.

W nowej szkole czuł się nieswojo, choć klasa przywitała go bardzo ciepło. Budynek go jednak przytłaczał. Posiadał kilka pięter, duże (jak dla drobnego ucznia) schody i zdecydowanie

zbyt wielu uczniów. Niektórzy pochodzili z różnych zakątków Polski – tych ulokowano w internacie na terenie placówki. Mury z solidnej cegły odrzucały bijącym chłodem, a sąsiedztwo okolicznego cmentarza wywoływało ciarki na plecach niejednego kozaka.

Dlaczego akurat Szkoła Mistrzostwa Sportowego im. Janusza Kusocińskiego? Ojciec, jako zagorzały zwolennik lekkoatletyki, podziwiał olimpijczyków i każde wydarzenie na światowej arenie sportowej było małym świętem domowym. Paweł był przeciętnym, choć opornym uczniem. Nauczyciele okazywali mnisią cierpliwość. Jednak wszystko, co działo się poza szkolnymi murami skutecznie odbijało się na nauce Ślusarskiego.

Zawieranie nowych znajomości nie przychodziło łatwo. Mieszcząc się w kategorii wzrostowej „poniżej średniej", musiał udowadniać innym swą twardość. Z tym akurat nie miał większych problemów. Coraz częściej powtarzające się pijackie ekstrawagancje ojca skutecznie uodporniły chłopca na stres. Zaczęły się bójki z nieformalnymi przywódcami innych klas, których prowodyrem niejednokrotnie zostawał Paweł. Zdobywał respekt, ale odbijało się to na jego nauce i kontaktach z nauczycielami. Większość rówieśników bała się nieobliczalnego ucznia.

Zmiana nastąpiła po pierwszym semestrze piątej klasy, gdy do rodziców przysłano pismo informujące, iż zagrożonemu z kilku przedmiotów uczniowi grozi wydalenie ze szkoły. Renata próbowała załagodzić fakt w oczach męża, ale na nic się to zdało.

Podczas świąt Bożego Narodzenia, kiedy w większości domów płyną dźwięki kolęd i następuje przełamanie się opłatkiem, w mieszkaniu Ślusarskich słyszano krzyki awantury. Ojciec opróżnił flaszkę wódki i zaczął się wydzierać, że chce zobaczyć dzienniczek. Wypluwał z siebie potoki słów przeglądając oceny. Natrafił na zajęcia wychowania fizycznego i coś w nim pękło.

Matka nie zdążyła zareagować. Chwycił syna za kark i wymierzył siarczysty policzek. Paweł rozryczał się, co jeszcze bardziej rozjuszyło Janusza. Rzucił nim o ziemię i nastąpił na dłoń pierworodnego. Trzasnęło. Chłopak z bólu opróżnił pęcherz. Wił się na ziemi próbując złapać się za rękę, ale rwało niemiłosiernie. Mama ze łzami w oczach rzuciła się na tatę. Nie oponował. Sąsiedzi nie reagowali. Nikt się nie zjawił.

Gdybym tylko wiedział, że to się tak skończy. Częściej chodziłbym na wf. Właśnie, gdybym wiedział, to nie byłoby mnie tu. Dochodziło go ciche powarkiwanie ponad czterometrowego potwora. Przez te wszystkie lata nauczył się odróżniać dźwięk belki, która zdoła utrzymać się na stojakach od tej spadającej. Już mnie nie dopadnie, jak nieraz na treningach. Drżenie poprzeczki blakło jakby potwierdzając myśli sportowca.

Lekarze zdiagnozowali złamanie nadgarstka prawej ręki wskutek gwałtownego nacisku. Jako, że ubezpieczony, Paweł miał otrzymać odszkodowanie. Cieszył się, bo pragnął kupić nowy rower, a nie sądził, aby rodzice podarowali mu taki prezent. Odkąd ojciec stracił firmę i znowu był zwykłym pracownikiem, syn przestał się łudzić, że kiedykolwiek znajdzie dla niego czas, co dopiero

pieniądze. Nie przejmował się zbytnio, zdążył przywyknąć.

Jednak przed końcem roku usłyszał, że kwota odszkodowania jest już rozplanowana na „prywatne inwestycje” starego. Został o tym poinformowany niejako mimochodem i Janusz nawet się nie zająknął widząc łzy syna. Ot, po prostu. Złamałem ci rękę, ale ciesz się, że żyjesz.

Uciekł z domu. Biegł, póki starczyło tchu. Pędził, nie zważał dokąd. Ręka w gipsie pulsowała tępym bólem, a ostry mróz skutecznie tłumił wewnętrzną debatę. Chciał tylko znaleźć się jak najdalej od domu, gdzieś gdzie da upust całej, gromadzonej latami, frustracji. Bez konsekwencji.

Znalazł się obok swej szkoły, na starym, nieczynnym cmentarzu parafialnym. Nie pamiętał, jak i kiedy tutaj dotarł. Mrok otulał, znajdujące się na ścieżce, łyse konary. Pokryte bluszczem i opatulone śniegowym płaszczem nagrobki płakały za dawnymi czasami, kiedy ludzie pamiętali o złożonych tu, w wiecznym spoczynku, zmarłych. Gdzieniegdzie ostało się kilka grobów, którymi opiekowali się żyjący jeszcze krewni. Dogrywające wśród cieni ostatki. W samym środku nekropolii postawiono kamienny monument w kształcie krzyża z wygrawerowaną datą „1855” i inskrypcją w języku łacińskim. Martwa cisza. Śmierć już dawno przestała tu zaglądać.

Pomiędzy nimi pałętał się chłopiec. Ogarniał go niewysłowiony gniew. Zaczął wyładowywać agresję na jednym z grobów. Przestał panować nad emocjami. Krzyczał i kopał płytę nagrobną. Napis głosił, że osoba pod nim spoczywająca zeszła z padołu łez dobre pół wieku wstecz. Nie dbał o to. Zdrową ręką próbował rwać, znajdującą się pod białą kołdrą, zieleń. Czuł, że staje się coraz bardziej drętwa, ale przestał się czymkolwiek przejmować. Chciał się dokopać do trupa i wykrzyczeć wszystko, co go gryzło.

Jak długo to trwało – nie miał pojęcia. Musiał spędzić na cmentarzysku kilka ładnych chwil, bo ktoś zdążył zawiadomić stróżów prawa. Zaskoczyli go, kiedy runęła tablica pamiątkowa. Przyłapany na gorącym uczynku. Nie był to najszczęśliwszy dzień w życiu. Mundurowi nie wysilali się, by złapać dewastatora. Nie uciekał. Wyziębiony, z jedną ręką w gipsie i krótkiej koszulce nie miał sił do stawiania oporu.

Przemarzniętego zabrali na komisariat.

Przez całą drogę mówili do niego. Pogrążony we własnym świecie nie reagował. Pytali o imię i motywy czynu karalnego. Nie odpowiadał. Medycyna określiłaby jego stan katatonią. To nie tak – nie udzielał się, gdyż zdawał sobie sprawę z konsekwencji, jakie czekają go w domu.

Bał się.

Komenda przy Placu Wolności, naprzeciw której znajduje się przeogromny kawał polodowcowego głazu narzutowego – największy śląski okaz tego typu, miała własny parking i jednocześnie tylne wejście. Właśnie tą drogą weszło dwóch policjantów z młodocianym przestępcą. W środku panował smród i, pomimo później pory, gwar. Odarte z farby ściany i przeraźliwie skrzypiące drzwi przedstawiały idealny obraz lokalnego posterunku. Wewnątrz budynku było kilka

okratowanych przejść (chcąc pomiędzy nimi się poruszać należało kilkukrotnie naciskać pozawieszane interkomy) i parę cel. Otagowane izby „dołka” informowały nowo przybyłych o poprzednich gościach, a czasem dodawanych przezeń złotych myśli. Chluba polskiego prawa karnego.

Nie trudzili się z protokołami rzeczy zatrzymanych aresztanta. Nie było potrzeby, gdyż akurat zjawił się ojciec chłopaka. Zionące od mężczyzny wyziewy alkoholowe mogłyby odurzyć niejednego, ale ówczesne prawo nie zabraniało odbierania rodzicom dziecka w wieku szkolnym, które jest w stanie poruszać się samodzielnie jeśli ci również byli do tego zdolni. Na dodatek miał ze sobą ciepłe ubrania dla syna.

Jak się okazało – po zorientowaniu się, iż nie ma go w domu, zatroskany tato ruszył na poszukiwania, lecz nie mogąc znaleźć zguby w ulubionych miejscach – udał się na Policję. Funkcjonariusze wyjaśnili Januszowi Ślusarskiemu okoliczności zatrzymania Pawła i konsekwencje, popełnionego przez małoletniego, przestępstwa.

A także koszty napraw.

Późniejsze raporty różniły się od tego co zarejestrowała jego pamięć. Jedno zgadzało się w stu procentach – ojciec, po usłyszeniu kwoty potrzebnej na pokrycie czynności renowacyjnych, wpadł we wściekłość i najmocniej, jak mógł, uderzył syna w żołądek. Posterunkowi nie zdążyli z interwencją i Paweł, podczas upadku, nim stracił świadomość, doznał ponownego złamania prawego nadgarstka. Resztę spowiła mgła zapomnienia.

Tato, gdybym mógł, powiedziałbym ci, że już nie obwiniam cię za tamte pobicia. Jesteś alkoholikiem i hazardzistą, ale mimo to na zawsze pozostaniesz moim ojcem. Najchętniej cofnąłbym czas i nigdy nie uciekł. Tylko, że wtedy cała reszta by nigdy nie nastąpiła, a nawet sam mógłbym znaleźć się na twoim miejscu. Być może nie w celi, która stała się twoim obecnym domem, ale z całą pewnością na Eichendorffa. Zamiast skakać, spacerowałbym teraz na deptaku.

„Najsurowsze więzienie w Polsce” zostało wybudowane w stylu neogotyckim, o czym Paweł niekoniecznie musiał wiedzieć, gdy po raz pierwszy odwiedzał osadzonego tu Janusza. Mury wieńczyły zasieki z drutu kolczastego. Część okien zamurowano, pozostałe okratowano. Wieże, okupowane przez uzbrojonych wartowników, całodobowo strzegły kompleksu. Nikt nie posiadał przywileju bezprawnego opuszczania zakładu karnego.

Poczekalnia przeważnie zapełniona była odwiedzającymi, który czekali w kolejce, aż ich numer zostanie wywołany przez przestarzałe, zawieszone pod sufitem, głośniki. Znajdowały się tu matki z dziećmi, ale nie brakowało również osób starszych. Kiedy megafony wycharczały liczbę 37 – rodzina ruszyła na spotkanie.

Nie przybył sam, wraz z nim wybrali się również Renata i wujek Marek. Poradzili skazanemu, aby dobrowolnie podpisał papiery rozwodowe, to i będzie mógł się widywać z synem,

jeśli młody, rzecz jasna, będzie tego chciał. Starszy Ślusarski od dawna podkochiwał się w bratowej, aczkolwiek nie śmiał wdzierać się z butami między małżonków. Incydent na Policji zmienił nastawienie szwagra.

Kości się zrosły. Z powodu podwójnego połamania w krótkim odstępie nie odzyskały dawnego kształtu. Przeciętny obserwator nie mógłby dostrzec jakiejkolwiek zmiany, jedynie po prześwietleniu dało się zobaczyć ułomność prawej kończyny górnej. Okoliczności, jakie spotkały przyszłego rekordzistę świata, przemodelowały trajektorię kursu kolei życia Pawła Ślusarskiego.

Szybko nadgonił zaległości w nauce i zajął się sportem, w czym nieodzowną okazała się pomoc wujka-lekarza. Mający problemy z sercem chłopak nie zrobiłby kariery w lekkoatletyce, acz został zwolniony z obowiązku chodzenia do higienistki szkolnej, a wszelkimi medycznymi sprawami zajmował się krewniak.

DLACZEGO NASZ ZAWODNIK NIE WSTAJE Z MATY? PROSZĘ PAŃSTWA NIE WIEM CO SIĘ DZIEJE, ALE JUŻ POWINIEN JUŻ CIESZYĆ SIĘ Z WYGRANEJ, A ON ANI DRGNIE! WIDZĘ PORUSZENIE NA STADIONIE! BIEGNIE DO NIEGO KILKA OSÓB! MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE NIC MU SIĘ NIE STAŁO!

Szybcy jesteście, nie ma co. A może tylko tak mi się wydaje, że leżę dość długo. Czyżby tak właśnie wyglądał koniec?

Gdyby nie kontuzja Balickiego – głównego tyczkarza reprezentacji, nie zyskałby możliwości demonstracji umiejętności. Los chciał inaczej. Na dzień przed głównymi eliminacjami skoku o tyczce „pierwszy gigant pręta”, jak mawiali między sobą, zwichnął kostkę. Z tego powodu załapał się Paweł, którego mistrz poinstruował, jak ma skakać.

Czuł się jak na audiencji u papieża. Doskonale zapamiętał rozmowę:

– Pawle, czy wiesz, co jest najważniejsze w sporcie – zapytał Bielicki.

– Walka.

– Masz rację, ale z kim?

– Przeciwnikiem – odparł.

Rafał spojrzał nań wzrokiem profesora litującego się nad niewiedzą ulubionego studenta i spokojnie rzekł:

– Gówno prawda. Konkurencja daje ci tylko motywację, by się bardziej postarać. Ale nie są to twoi główni przeciwnicy. Kto jest lepszy, kto gorszy – to nieistotne. Nie mamy na to jako takiego wpływu. Wszystko zależy od umiejętności danej jednostki. Najważniejszy jest, abyś pokonał samego siebie, rozprawił się z własną przeszłością i patrzył w przyszłość z nadzieją. To twój motywator i zarazem główny wróg. Zmierz się z samym sobą, pokonaj siebie, a bestia cię nie dopadnie. Drgnie, ale nie wkroczy na twój teren, na twoją matę. W tej jednej sekundzie wykorzystaj wiedzę i nabyte doświadczenie. Oddaj całą swoją siłę i wybij się.

Wybij się, chłopaku znikąd.

Dzięki ci, Rafale! Miałeś rację. Przez całe zawody zaliczałem skoki na styk. Wszyscy dziwili się, że poprzeczki nie spadały. Musiałem zaryzykować. Poprosiłem sędziego, by podniósł próg stojaków do siedmiu metrów. Trenerowi to się nie spodobało, ale nie oponował. Wiedziałem, że to życiowa szansa i podobna sytuacja się nie powtórzy. Na Olimpiadzie nie zadają niewygodnych pytań. Czas na nie nadchodzi później.

Siedem metrów, podczas gdy rekord stadionowy wynosi 6,14 metra. Niezmiennie od dziewięćdziesiątego czwartego.

Bieg. Wbicie tyczki. Wyskok. Zgięcie w pozycji świecy. Prawidłowe etapy.

Zmieniłem pozycję. Wybicie z prawej ręki – silniejszej. Wujek mówił, że mam w niej dwukrotnie większą parę.

Wystrzeliłem w górę. Mając poprzeczny drąg na wysokości pasa odepchnąłem się mocniej od tyczki. Zrobiłem to pierwszy raz złamaną niegdyś ręką. Wykorzystałem moment i... wybiłem się.

Bestia jęknęła. Została na łańcuchu.

Przekroczyłem granicę.

Au!

Fala ognia zalała klatkę piersiową sportowca. Już nie ból, a ocean mąk. Męczennik dogrywający wśród skandowań tłumu, który teraz zastygł w bezruchu. Kilka osób było już przy nim. Nie słyszał głosów, ale ktoś go podnosił. Odpływał i nikt nie mógł zmienić tego faktu.

A więc tak to się kończy – ostatni przebłysk myśli przeszył umysł olimpijczyka.

Niezauważona przez nikogo spłynęła kątem oka kropla.